

ANDRZEJ KASTORY

OMÓWIENIE KSIĄŻKI:
MIĘDZY POKOLENIAMI. WYWIAD RZEKA –
Z PROFESOREM JANEM MACHNIKIEM
ROZMAWIA MARZENA WOŹNY, RZESZÓW 2014

Jan Machnik urodził się w 1930 r. w województwie stanisławowskim. Rodzice byli nauczycielami i zapewniali rodzinie życie w warunkach skromnych, ale materialnie ustabilizowanych. Mieszkali na wsi, w Łuce, zamieszkałej w większości przez Ukraińców. Dwujęzyczność w tych warunkach była czymś naturalnym, a zrozumienie dla sposobu myślenia ukraińskich sąsiadów zostało Janowi Machnikowi na całe życie.

Kres beztroskiemu dzieciństwu położył wybuch wojny. Normalne współzycie między Polakami a Ukraińcami nagle się załamało. Matka uciekając z obawy przed Ukraińcami niewiele mogła zabrać ze sobą, a to co zostawiono w ukryciu zostało zrabowane. Zimę Jan Machnik spędził w letnim ubraniu, nie wychodząc z domu! Stosunki z Ukraińcami unormowały się, gdy się okazało, że nie mogą oni liczyć na poparcie ze strony sowieckiego okupanta. Nadejście Niemców w czerwcu 1941 ożywiło ponownie aspiracje młodzieży i inteligencji ukraińskiej. Matka wykazała się dużą roztropnością postanawiając schronić się w okolice Krosna, gdzie mieszkała rodzina jej męża. Jesienią 1941 r. zdobyła niezbędne przepustki, dzięki którym Machnikowie mogli się udać do Suchodołu. Ojca nie było. Jeszcze przed wybuchem wojny został zmobilizowany i wkrótce wraz ze swoim szwadronem znalazł się na Węgrzech. Matka Jana nie chciała w Suchodole uczyć w niemieckiej szkole. Skorzystała natomiast z inicjatywy arcybiskupa Adama Sapiehy, który w Krakowie zorganizował kursy zielarskie. Ukończywszy taki kurs uzyskała uprawnienia instruktorki zielarstwa, co chroniło ją, a w przyszłości również Jana, przed wywózką na roboty do Niemiec. W Suchodole praktycznie nie było ani mężczyzn, ani koni, a pole musiało zostać obrobione. Po interwencji babki Machnika w miejscowym Arbeitsamcie, do jej gospodarstwa oddelegowano obeznanego z pracą na roli żołnierza. Żołnierz przyjechał z narzędziami niezbędnymi do pracy. Pozdrowił rodzinę *Grüß Got*, przyjął posiłek, a po całym dniu pracy, zjadł obiad, podziękował i odjechał (s. 56).

Na wsi nie czuło się terroru, a poza tym to, co dla dorosłych mogło być uciążliwe a nawet straszne, dzieciom w zabawie nie przeszkadzało. Była jednak praca. Nie tyle ciężka, co nudna: pasienie krów, które dla młodego chłopca było prawdziwą plagą! Jan wolny od kontroli ze strony Ojca i nie niepokoiony przez matkę, która zajęta była kontrolowaniem swoich podopiecznych zielarzy, zaczęła chuliganic. Spowodowany łakomstwem „rabunek” miodu w pasiece kierownika szkoły miał go drogo kosztować. Sława szła za nim i gdy w 1943 r. chciał zapisać się do gimnazjum w Krośnie, został bezceremonialnie odprowadzony. Matce udało się umieścić go w Krościenku. Było to jednak pouczające doświadczenie.

Wojna z perspektywy kilkunastoletniego chłopaka dostarczała okazji do przygody. Katastrofa niemieckiego samolotu, zresztą natychmiast oczyszczonego przez miejscowych ze wszystkiego, co się dało wziąć, małemu Machnikowi pozwoliła zaopatrzyć się w pas z nabojami do karabinu maszynowego. Ale ta zdobycz była niczym w porównaniu z „przejmowaniem” niemieckiego mienia na pobliskim lotnisku w momencie niemieckiego odwrotu. Poszukiwania zdobyczy zaczęły się, gdy Niemcy jeszcze niezupełnie lotnisko opuścili. Jan buszujący w magazynie musiał ukryć się pomiędzy beczkami, po które Niemcy właśnie przyjechali. Skończyło się na śmiechu, gdy żołnierze zauważyli uciekającego im spod rąk chłopca. Zresztą Jan Machnik bez mała z sympatią mówi o frontowych żołnierzach zarówno niemieckich, jak i sowieckich, którzy rychło mieli nadejść. Tyle że żołnierze niemieccy przed opuszczeniem kwater domagali się od gospodarza potwierdzenia, że wszystko zostawili na miejscu. Rosjanie takich skrupułów nie mieli! Wiosną 1944 pojawili się uciekinierzy ze Wschodu, gdzie trwała jeszcze rzeź dokonywana przez Ukraińców na ludności polskiej.

We wrześniu 1944 r. Jan Machnik w wolnym od Niemców Krośnie zapisał się do polskiego gimnazjum. Był to okres jego fascynacji harcerstwem, wyłaniającym się z konspiracji z legendą „szarych szeregów”. Profesor Machnik wspomina: „harcowanie było wspaniałe” (s. 87).

Koniec wojny zbiegł się z powrotem z Oflagu ojca Jana Machnika. Został on kierownikiem szkoły w Jasionce koło Dukli, a Jan musiał zamieszkać w burisie. Kariery szkolnej o mało co nie zakończyło „nielegalne” obchodzenie święta 11 listopada w 1946 r. Relegowano w efekcie niemal wszystkich. Na szczęście dla Jana w klasie były również dzieci miejscowych prominentów. Po dwóch tygodniach uczniów przywrócono do szkoły, obniżając jedynie oceny ze sprawowania. Profesor Machnik z wielkim uznaniem wspomina ówczesnych nauczycieli. Wykształceni przed wojną, dysponowali wielką wiedzą i umiejętnościami dydaktycznymi. Młodzież trochę politykowała, a było to niebezpieczne zajęcie, zwłaszcza że wielu aż do 1947 r. posiadało broń i amunicję. W 1948 r. Jan Machnik zdał małą maturę, która uprawniała do kontynuacji nauki w liceum. Wraz z kolegami i księdzem opiekunem uczcił to wydarzenie niesłychaną wręcz wycieczką do Zakopanego. Z Krosna na piechotę przeszli na Łysą Polanę, a następnego dnia przeszli przez Morские Oko i jak należałoby się domyślać z opisu Jana przez Dolinę Pięciu Stawów,

Zawrat, Świnicę, Kasprowy, Czerwone Wierchy do Kościeliska. Jeśli rzeczywiście dokonali tego jednego dnia, to był to wyczyn nie byle jaki.

Jan Machnik powołany w 1949 r. do Służby Polsce, paramilitarnej organizacji wykorzystywanej do indoktrynacji i różnych ciężkich prac przy odbudowie zniszczeń wojennych, bardzo sobie tę służbę chwalił. Dostał się do drużyny sportowej, gdzie byli znakomicie żywieni. Swoją przyszłą karierę zawdzięcza pewnemu kapitanowi w komendzie uzupełnień, do której się zgłosił z zamiarem wstąpienia do szkoły oficerskiej. Został na szczęście dla archeologii odprawiony słowami: „synu, najpierw skończ pełną szkołę średnią, a wtedy pomyślisz” (s. 103).

Po zdaniu matury w 1950 Jan Machnik postanowił podjąć studia historyczne na Uniwersytecie Jagiellońskim. Zdał egzamin wstępny z wynikiem bardzo dobrym, ale się nie dostał, ze względu na niedoskonałe pochodzenie: „inteligencja pracująca” musiała ustąpić kandydatom o „szlachetniejszym” pochodzeniu: robotniczym lub chłopskim. Mając do wyboru rusycystkę, lub „Studium Kultury Materialnej” wybrał mniejsze zło, czyli studium łączące archeologię i etnografię. Machnik z dużą sympatią wspomina swoich wykładowców, ale największe wrażenie na czytelniku sprawia opowieść o warunkach mieszkaniowych. Dzisiaj wydawać się może wręcz niemożliwe, że w takich warunkach można było żyć i uczyć się (jedno łóżko na dwóch!). Z przymrużeniem oka Machnik mówi o założeniu organizacji ZMP: „Przede wszystkim założyliśmy Koło Związku Młodzieży Polskiej. Na Uniwersytecie takie koło musiało powstać. Jego przewodniczącym wybraliśmy mojego serdecznego przyjaciela Jurka Potockiego, autentycznego hrabiego” (s. 129).

Jak się zdaje, Machnika do archeologii przekonały wykopaliska „ratunkowe” na terenie Nowej Huty, gdzie niejednokrotnie artefakty w pośpiechu wyjmowano z łyzki koparki. Do tych prac studenci byli zaangażowani już na I roku. Z prawdziwym warsztatem archeologicznym zetknął się podczas wykopalisk w Opolu prowadzonych przez profesora Rudolfa Jamkę, a potem podczas obozu wakacyjnego w Biskupinie i na Kurpiach, gdzie z pewnym zdziwieniem zaobserwował, jak studenci warszawscy „pilnowali poprawności socjalistycznej” (s. 151). Inaczej było w Krakowie, gdzie prof. Józef Kostrzewski żartował, że „w PRL wszystko jest do d..., tylko bary mleczne nie są” (s. 127). O ostatecznym pozostaniu przy archeologii zadecydowało chyba włączenie się Machnika do trwającej kilka miesięcy ekspedycji karpackiej prowadzonej przez Andrzeja Żakiego.

W 1953 r. Machnik ukończył studia I stopnia w Krakowie. Znalazł się w grupie skierowanej na studia prehistoryczne prowadzone przez Uniwersytet w Poznaniu. Najwięcej wspomnień Machnik zachował o profesorze Józefie Kostrzewskim, odsuniętym w owym czasie od dydaktyki. Pozostawiono mu jednak kierowanie muzeum. To właśnie u niego zbierała się z własnej inicjatywy grupa studentów. Machnik przyznawszy się do znajomości ukraińskiego (był w istocie dwujęzyczny), otrzymał zadanie przygotowania abstraktów z ukraińskich czasopism.

W Poznaniu nie było miejsca na polityczne żarty. Marksizm traktowano na serio, a nawet pod jego szyldem usiłowano „wykańczać” znanych profesorów. Grupa krakowska ze zdumieniem obserwowała jak na jakimś posiedzeniu „młodzież

socjalistyczna” atakowała kilku profesorów oskarżając ich „o burżuazyjne uwikłania”. Machnik poparty przez grupę studentów, w większości krakowskich, zabrał głos wskazując na głupotę i ignorancję „aktywistów”. Jak wspomina, atakowanych profesorów udało się wybronić (s. 168). Niewątpliwie na formację zawodową i duchową Machnika największy wpływ wywarł w Poznaniu profesor Kostrzewski. Gdy podczas jakiegoś spaceru Machnik wyznał profesorowi, że jest niewierzący usłyszał w odpowiedzi: „to Panu przejdzie”.

Jeszcze w trakcie studiów Machnik został zaangażowany do prac wykopaliskowych w Igołomii, którymi kierowała „cała śmietanka archeologiczna z Krakowa i Warszawy”. Był to czas intensywnej nauki i nawiązywania kontaktów i przyjaźni. Po zakończeniu sezonu wykopaliskowego czekała na Machnika w Poznaniu przykra niespodzianka: powołanie do szkoły Oficerów Rezerwy Piechoty w Śremie. Spędził w niej czas aż do Bożego Narodzenia. Do Igołomii wrócił w styczniu 1954 r., gdzie profesor Stefan Nosek, kierujący należącym do PAU pałacem Morstinów, przydzielił mu pokój, w którym mógł z niejakim trudem przygotowywać magisterium. W czerwcu 1955 r. odbył się egzamin magisterski.

Już w lipcu 1955 r. Machnik został zaangażowany do prac wykopaliskowych w Lipsku koło Zamościa, a po zakończeniu sezonu powrócił do Krakowa, gdzie został zatrudniony w Zakładzie Archeologii PAN przy ul. św. Jana. Z tym zatrudnieniem wiązała się nieprzyjemna sytuacja. Pan prof. Jamka obiecał Machnikowi etat na Uniwersytecie. Jednakże służba wojskowa i opóźnienie magisterium sprawiły, że etat zajął ktoś inny. Jamka chcąc dotrzymać słowa, wraz z dziekanem Wydziału namówił Machnika, by wyjaśnił w rozmowie z dr. Stanisławem Buratyńskim (pod którego kierunkiem Machnik pracował wcześniej przy wykopaliskach w Nowej Hucie), czy nie zechciałby z pracy na Uniwersytecie zrezygnować. Rozmowa, jak można było założyć, miała przebieg bardzo przykry. W jej efekcie Machnik porzucił starania o etat na Uniwersytecie. Uratowała go propozycja profesora Witolda Hensla, podjęcia pracy w Instytucie Historii Kultury Materialnej PAN w Krakowie. Machnik, wolny od obowiązków dydaktycznych, mógł się w pełni poświęcić archeologii. Jeszcze w 1955 r. podjął badania powierzchniowe. Były to wyprawy z Igołomii do Sandomierza wzdłuż Wisły, podobna wyprawa wzdłuż Sanu, następnie badania nad Wieprzem i Tanwią. W efekcie tych badań udało się ustalić, że na wschodnich terenach części Niziny Sandomierskiej istniało osadnictwo od mezolitu aż po wczesne średniowiecze (s. 219).

W 1958 r. Machnik poślubił dobrze sobie znaną z różnych wypraw archeologicznych pannę Annę Dzieduszycką. Wejście w arystokratyczne środowisko żony, nie zmieniło wiele w życiu Jana Machnika. Przejściowo zamieszkali w pałacu Morstinów w Igołomii. Mieszkanie z prawdziwego zdarzenia otrzymali w 1959 r. w bloku przy ul. Bronowickiej. Mieli już wówczas dwójkę dzieci (s. 246).

W 1963 r. Machnik skończył pracę nad doktoratem. Pisał go pod kierunkiem profesora Stefana Noska. Recenzentami byli Witold Hensel i Józef Kostrzewski. Wkrótce po tym Machnik dołączony został z inicjatywy profesora Hensla do ekipy jadącej do Mongolii. Miała to być pierwsza polska ekspedycja archeologiczno-

-etnograficzna na tym terenie. Efekty tej ekspedycji – sądząc z relacji autora – bliższe były folklorystyce niż archeologii. Potem nastąpiły jeszcze wyjazdy do Czechosłowacji i do Francji, gdzie zaproszono kilka ekip polskich archeologów. W 1966 r., po śmierci profesora Stefana Noska, Jan Machnik przejął obowiązki kierownika Zakładu Archeologii PAN. Dowodów na sprawność organizacyjną i umiejętność kierowania dużymi zespołami ludzi dostarczyły badania polsko-amerykańskie, szczerze finansowane przez Amerykanów. Jak wspomina profesor, na jeden rok mieli do dyspozycji 36 tys. dolarów, co na owe czasy, przy przeliczeniu 90–100 zł za jednego dolara dawało ogromne pieniądze. Machnik zdołał, nie bez trudu, skompletować zespół archeologów, pozyskać ludzi do pracy, zapewnić zaopatrzenie kilkudziesięciosobowych zespołów w żywność. Były pieniądze, ale niczego nie można było normalnie kupić, od samochodu, przez deski po żywność. Wszystko trzeba było załatwiać „sposobem”. Tu też ujawniły się niezwykle talenty Machnika, który umiał dotrzeć we właściwy sposób do właściwych ludzi. Prace były prowadzone na niezwyklej skale i na pewno stanowiły przełom w polskiej archeologii. Na barki Machnika spadł też w latach 1967–1970 remont pałacu w Igołomii. Jego przeprowadzenie Machnik uznał za swój osobisty sukces (304). W ramach współpracy polsko-amerykańskiej, przedstawiciel strony amerykańskiej Sarunas Milisaukas zorganizował dla polskiej ekipy (Witold Hensel, Józef Machnik, Janusz Kruk) całomiesięczny pobyt w Stanach Zjednoczonych. Wspomnieniem, z tego popytu Machnik poświęcił wiele miejsca. Wkrótce potem jednak doszło do spięć z panem Milisaukasem, którego intrygi nadwyrężyły przejściowo stosunki Machnika z profesorem Henslem i w efekcie podsumowanie badań polsko-amerykańskich, których głównym koordynatorem był Machnik ukazało się drukiem bez jego udziału (s. 309).

Zainteresowania Machnika w owym czasie zwróciły się ku problemowi związków Kaukazu z Europą. Wielkie nadzieje w związku z tym wiązał z wyjazdem do Moskwy w 1970 r. Na Kaukaz dotarł dopiero po dwóch miesiącach. Swoboda poruszania się jaką miał w Gruzji kontrastowała z tym z czym się spotkał w innych rejonach Związku Sowieckiego. Tu dopiero mógł rozpocząć badania nad materiałami kultury „kuro-arakskiej”. Jediną przeszkodą w badaniach były słynne biesiady gruzińskie. Ta, którą Autor opisuje, trwała od godziny 13⁰⁰ do 2⁰⁰ w nocy. Toasty obficie oblewane winem wznoszono również za Matkę Boską patronkę Gruzji i za niepodległość (był to rok 1971)!

Problem związków Kaukazu z Europą skierował kroki Machnika do Hiszpanii, gdzie badania prowadził w licznych muzeach, często położonych w małych miejscowościach. Studia te pozwoliły sformułować wniosek, że w okresie brązu istniały kontakty na przestrzeni całego Morza Śródziemnego, a metalurdcy z Kaukazu docierali w poszukiwaniu miedzi do zachodnich krańców Morza Śródziemnego.

W latach siedemdziesiątych dużą rolę w życiu naukowym Machnika odgrywały międzynarodowe sympozja. Jak wspomina Machnik „tworzyliśmy taką dwudziestoparosoobową socjetę, która spotykała się przez dwadzieścia lat w różnych krajach, głównie w Europie Środkowo-Wschodniej” (s. 353). Tym kontaktom poświęcił kres stan wojenny w Polsce.

Relacja z lat osiemdziesiątych jest bardzo barwna. Autor odtwarza atmosferę tamtych czasów. Pisze też o ludziach i ich postawach. W Zakładzie Archeologii wszyscy zapisali się do „Solidarności”. W 1984 r. Machnik zainicjował spotkania archeologiczne w pałacu igołmskim. Przyjeżdżali głównie ludzie młodzi i referowali przeróżne tematy, często oparte na badaniach związanych z pracami magisterskimi. Zjeżdżali na nie ludzie z całej Polski. Seminaria trwały zazwyczaj dwa dni i referowano na nich przeróżne tematy. Stały się one tradycją i odbywały się regularnie przez 26 lat, czyli do 2010 r.

W latach osiemdziesiątych Jan Machnik skoncentrował się na badaniach karpackich, prowadzonych na pograniczu ze Słowacją i Ukrainą. Zapewnił sobie większą swobodę działania, rezygnując w 1990 r. z kierowania zakładem Archeologii (s. 409). Badania na terenie Ukrainy oznaczały w jakimś sensie powrót do kraju dzieciństwa. Jeśli współpraca z archeologami słowackimi nie nastęrczała żadnych trudności, to na Ukrainie sprawa wyglądała inaczej. Tu wytworzyła się grupa wyraźnie niezyczliwa polskim badaczom (s. 423). Prace można było prowadzić jedynie dzięki poparciu dyrektora Oddziału Archeologii Instytutu Ukrainoznawstwa Jarosława Isajewicza. Po podpisaniu umowy w 1992 r. rozpoczęły się prace terenowe. Ważnym odkryciem było stwierdzenie, że część kultur po obu stronach obecnej granicy była identyczna. Relacji Autora towarzyszy wiele obserwacji natury etnograficznej, obyczajowej, które zresztą zaobserwować można w relacjach ze wszystkich ekspedycji.

Działalność Jana Machnika w Polskiej Akademii Umiejętności zaczęła się od jego wyboru na członka korespondenta w 1992 r. Wkrótce potem został przewodniczącym Komisji Środkowoeuropejskiej, sekretarzem, a następnie wicedyrektorem II Wydziału. W 2000 r. wybrany został wiceprezesem Akademii. Z satysfakcją wspomina, że miał swój udział w pomyślnym promowaniu utworzenia uniwersytetu w Rzeszowie. Miał też swój udział w powołaniu Komisji Prehistorii Karpat PAU (1996 r.) oraz w tworzeniu kierunku archeologii na Uniwersytecie Rzeszowskim. Na tym Uniwersytecie Machnik mógł wreszcie w pełni wykorzystać swoje talenty dydaktyczne (s. 451).

„Między pokoleniami” to autobiografia wybitnego, niezwykle utalentowanego archeologa. Można by ją też zatytułować: „dzieje człowieka pracowitego”. Machnik okazał się świetnym organizatorem, umiejącym bezkonfliktowo kierować dużymi zespołami. Jest świetnym obserwatorem, dzięki czemu czytelnik zapoznać się może z atmosferą epoki minionej i panoramą wybitnych uczonych. Ponieważ Autor całe dorosłe życie spędził na wyprawach naukowych, opis ten dotyczy nie tylko Polski, ale również Związku Sowieckiego, Mongolii, Gruzji, Ukrainy, Słowacji i krajów zachodnich, w tym Stanów Zjednoczonych, Francji, Hiszpanii i Grecji. Ta książka w żadnym wypadku nie jest hermetycznym wyznaniem archeologa i każdy czytelnik może znaleźć w niej treści dla siebie interesujące.